

**Fragment I [Rozdział 6, s. 46-47, 55-56]**

Zenon przekładał i przepisywał notatki robione ołówkiem jeszcze w Paryżu. Głupia, kompilacyjna robota szła mu ciężko. Gdy ją zaczynał, wydawała mu się ważna i zajmująca, tutaj, w Boleborzy, zatraciła jakby wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Jego niepokój wzrastał. Powinien był wracać tam jak najprędzej, ze wszystkich względów (Adela!). Wojna i tak zabrała mu więcej niż dwa lata, pozostawiając w życiu dezorientującą wyrwę, z całym sobą był niemożliwie spóźniony. Czuł, że czas mija, że jego sprawy nie posuwają się wcale, że ostatni rok w Paryżu jest wciąż niepewny. Tamtejsze nijakie artykuły o "bogactwach kopalnianych Polski" widocznie podobały się Czechlińskiemu, skoro wystąpił zaraz z taką propozycją. Ale wizyty w Gwareckim Folwarku, obie zakończone pijatyką, zostawiły Zenonowi tylko niesmak i obrzydzenie. Widział jasno, że jeżeli przystanie ostatecznie na tę drogę, nie mając innej, to nie będzie w porządku ze sobą i na samym wstępie zacznie od rezygnacji. Och, przyłapał się na tym komunale! "Być w porządku ze sobą" – cóż to znaczy? Jest to zawsze w jakimś choćby najbardziej wzniosłym sensie dogadzać swoim chęciom, swoim "wrodzonym instynktom moralnym". A przecież moralność jest wynikiem życia w społeczeństwie i poza społeczeństwem jej nie ma. Są tylko słowa, które służą do oszukania siebie i zwłaszcza innych. Zenon pragnął rzeczy bardzo prostej: żyć uczciwie. Jego program naprawdę był minimalny. [...]

Patrząc teraz z bliska na ich starą miłość, Zenon uczuwał w sposób nieprzyjemny, że gdy się posługuje zaimkiem osobowym "ja", to oznacza nim zmieszane w różnym stosunku cechy tych dwojga ludzi. Matka była łatwiejsza do przewyciężenia, chociaż i w niej istniały rzeczy niepokojące. Groźniejszy był ojciec. Na jego twarzy, jak na szpitalnej karcie choroby, stały wypisane jego dzieje. Odczytywanie ich było dla Zenona upokorzeniem nie dającym się w żaden sposób oszukać ani ugłaskać. Tkwiła w tym wstydliva myśl, że to jest jego "rodzic", że mu zawdzięcza istnienie. Myśl groteskowa, że jego życie, jedyne i nieodwracalne, ma swoje źródło w erotyzmie tego człowieka. (...) Rzeczą bolesną było wiedzieć, że ten człowiek jest jego ojcem i że wszystko, co jest z niego, trzeba w sobie za wszelką cenę wytepić. (...)

Opierając się głupiej słabości do Justyny Zenon musiał walczyć nie tylko z jej urodą i młodością. Wszystko zdawało się pomagać tej sprawie i na wszelki sposób ją popierać. Uroki lata, rozprzegający wolę wpływ natury, sprzyjająca atmosfera domu. Wystarczyło wejść w zwykłe, uświęcone od wieków koleje boleborzańskiego obyczaju, wystarczyło przystać.

**Fragment II [Rozdział 7, s. 59-61]**

Rzeczywiście, Zenonowi pozostał tylko ten zamożny i ustosunkowany Czechliński. Po wyjeździe z Boleborzy zatrzymał się w mieście. Nagle zrobiła się jesień, padał deszcz, było zimno i nieprzyjemnie. Tutaj miał umówione z Czechlińskim ostateczne spotkanie. Fundusze na solidny "bezpartyjny" dziennik regionalny już były wyjednane, Zenon zobowiązał się przysłać z zagranicy szereg artykułów (nie korespondencji) o zasadniczych liniach polityki poszczególnych państw w latach powojennych. Artykuł pierwszy, rodzaj wstępu do tego cyklu, wręczył Czechlińskiemu w restauracji Hotelu Polskiego. Znowu więc pił z tym panem, tak sobie dalekim i nieprzyjemnym, i co więcej, oczywiście na jego koszt. [...]

Rynsztokiem waliła woda zmywając z kamieni ślady wapna i niosąc na sobie w podskokach jakieś szmatki, papiery i patyki. Widok postarzałego Awaczewicza i paprochy mknące wodą rynsztoka dały się ująć łącznie jedną, heraklitową formułą przemijania. I nagle w tym zestawieniu, "sprzedanie duszy" Czechlińskiemu wydało się rzeczą znikomej wagi. Czechliński wziął rękopis, popatrzył na początek i na koniec, dotknął paznokciem miejsc, gdzie zdania podkreślone miały w druku stanowić rozbijające tekst podtytuły, powiedział: "tak" i rzecz zwyczajnie schował do kieszeni. Tymczasem na początku i na końcu nic właściwie nie było, a sens artykułu leżał pośrodku i całkowicie uszedł uwagi Czechlińskiego.

...rzeczą znikomej wagi. Był to już wpływ tego człowieka. Czechliński przez samą swoją naturę wytwarzał koło siebie pewien stan rzeczy, w którym jedynie mógł być taki, nie inny, w którym jedynie mógł żyć do woli, wedle obowiązujących tam, jemu tylko właściwych i potrzebnych miar. Są tacy ludzie, którzy sami sobie niejako aranżują świat i im właśnie wszystko się udaje, choć można by mniemać, że działają pośród fikcji. W tym kręgu, wykrojonym z rzeczywistości płaszczyzną i zakresem czechlińskiego widzenia, życie wydawało się czymś niepoważnym, nie nakładało żadnej odpowiedzialności, do niczego nie zobowiązywało.

Ten człowiek siedzący naprzeciwko, niewysoki, krępy, mocno związany, o twarzy miękkiej i fałdzistej, skorej do śmiechu, o szerokich szczękach smakosza, nie mówił właściwie nic na serio – jak gdyby cały świat był wart diabła, jak gdyby, szczerze mówiąc, wszystko było do luzu. Wciąż z czegoś kpił, na coś się stylizował, nie umiał jakby myśleć inaczej niż w cudzysłowie – po liniach, które wciąż załamywały się w fikcyjnych warstwach cudzych opinii, programów i zwłaszcza knowań. Nie było wiadomo, co myśli sam, na czym mu może zależeć, po czyjej opowiada się stronie. Podstawy jego zjadliwych sądów zdawały się leżeć w jakiejś dziedzinie niedostępnej, daleko wyższej i nierównie bardziej wyrafinowanej niż jakiegokolwiek przekonania. W jego relacji groteskowej i zarazem sugestywnej przeciwstawiły się sobie nawzajem światy rozmaitego głupstwa. Każdy się łudził, każdy był w błędzie, każdy dał się wystrychnąć na dudka – pojedynczy ludzie, partie polityczne, państwa. Płynęła z tego niewyczerpana uciecha, śmiech niedobry i wcale niegłupi, pełen triumfującej niemoralności, sugestii, że wobec takiego stanu rzeczy wszystko właściwie

jest dopuszczalne. Pośród tego nieustającego brania jednych przez drugich na kawał, bezradnych miotań się w paradoksalnej próżni zła i głupstwa, jeden Czechliński zdawał się trzymać w rękach nici całej gry, ale tej wiedzy swojej niczym prócz drwiny nie ujawniał. To wszystko nie dawało się do niczego sprowadzić, nie dało się nawet streścić i po każdej rozmowie z tym pierwszym na całe starostwo *causeurem* po prostu nie było wiadomo, o co chodzi. Zenon orientował się jedynie w tym, że pewni ludzie są "nasi" – bez jakiegokolwiek jednak ich definicji – oraz że należy "ubrać" pozostałych – też nie wiadomo, w imię czego. Właśnie teraz otwiera się możliwość podjęcia pewnych rzeczy, o których nikt nie pomyślał. Jakich rzeczy mianowicie? Założenia pisma. To dopiero będzie dla "nich" niespodzianka, zagarnie im się to, co właśnie myśleli, że przygotowują dla siebie.

Śmiech Czechlińskiego, triumfalne miny, konspiracyjne aluzje – to wytwarzało jakieś brudne ciepło zaufania, wciągało w ścisłą solidarność, urzekało. Obaj zjedli i wypili dość dużo, Zenon czuł się coraz bardziej bezbronny. Jego zdumienie, że można myśleć tak niekonkretnie, roztopiało się w łagodnym podziwieniu. Gotów był mniemać, że właśnie to jest dowodem istotnego czucia z rzeczywistością – taką, jaką ona jest dzisiaj. I ostatecznie, sam nie wiedząc jak, poczuł się także "swoim" człowiekiem, a wyjaśnienie bliższe, tych rzeczy odłożył sobie na później.

### **Fragment III [Rozdział 7, s. 63-64]**

Wyobrażał sobie tę Elżbietę, jako pannę pewną siebie, oschłą i wyniosłą. Mogła doskonale wcielać wszystkie małomieszkańskie sposoby widzenia, odczuwania i sądzenia świata. Konstruktywnie umieścił ją teraz w jakimś punkcie idealnym przeciwieństwa z Justyną – w ten sposób, że to wypadło na niekorzyść Elżbiety.

Jego cała sympatia była w tej chwili po stronie tamtej, od której oddarł się zaledwie przed tygodniem, ogarnięty splotem uczuć bardzo ze sobą skłóconych. Z zewnątrz mogło się zdawać, że ją po prostu porzucił. W istocie przecież było inaczej. Zenon wcale już teraz nie myślał, że uległ słabości wiążąc się z tą kobietą białą, ciepłą i łagodną. Taką samą słabością jest chodzenie po trawie, kąpanie się w rzece, taką samą słabością jest oddychanie powietrzem. To doskonałe przeniknięcie się fizyczne z drugim człowiekiem, całkowicie na sobie poprzestające wzruszenia takiej miłości, ostre, głębokie wstrząsy upojenia – przekonały go swą jedyną logiką. Nie trzeba tu było legitymować się żadnymi względami duchowego porozumienia, żadną psychiczną nadbudową. Wystarczyła zgoda z naturą, prosta rozkosz ulegania jej prawom.

Tak niewątpliwie było i to przemawiało za Justyną. Ale ta rzecz, jak wszystkie inne, nie dała się odciąć, wyosobnić od reszty życia. Wprawdzie Justyna zgodziła się na rozstanie, od początku przywykła do myśli, że on odjedzie. Ale jej ufność, jej dziecinna tkliwość, tak ujmująca w pieszczocie, rozpościerała się poza nią, usiłowała przeniknąć w inne dziedziny jego życia, ogarnąć go całego. "Przecież ty wrócisz" – powtarzała, gdy ją żegnał. I Zenon nie miał siły powiedzieć, że nie wróci. Poza Boleborzą zaś całe zagadnienie Justyny było nie do pomyślenia, musiało pozostać w swych naturalnych granicach, zamknięte kresem tego gorącego boleborzańskiegogo lata. I tutaj też Zenon pozostawał w zgodzie z naturą, z jej prawem przemijania.

### **Fragment IV [Rozdział 7, s. 65-66]**

Weszła żywo, z uśmiechem, mówiąc głośno od progu, jak jest zdziwiona, jak się cieszy. Nawet, jak jest wdzięczna, że nie zapomniał. Wszystko to była nieprawda, służąca do zajęcia miejsca w czasie, do zorientowania się w sytuacji. Jak również wiadomość, że pani Koliczowska czuje się niedobrze i nie będzie mogła go zobaczyć. Jakaż różnica od dzieciństwa, gdy istotną radość okrywała złą miną i impertynenckimi słowami! Teraz konwencjonalna radość służyła do okrywania pustki.

Zrobiła na nim złe wrażenie. I gest, żeby usiadł, i sposób, w jaki usiadła sama, coś poprawiając przy sukni i jakoś ustawiając stopy. Była niespokojna nerwowo, niepewna siebie, dawny urok pochmurnej siły znikł bez śladu. Rzecz nieoczekiwana, rzecz, na którą ani przez chwilę nie liczył: poczuł nad nią swoją przewagę.

Rozpytywała go o te lata, o dalsze projekty z miną uważną i życzliwą. Oglądała go wciąż, nie spuszczała z niego oczów, ciemnych i matowych.

– A pani? Dlaczego pani nie mówi o sobie?

Odgroziła się od razu od tego pytania. Powiedziała gładko, że lubi tu być, lubi to miasto, ten dom. Że jest stworzona do życia na prowincji.

– Zdaje mi się, że już inaczej być nie może. Tak jestem związana z tym, jakby to we mnie tkwiło. Ten dom, ulica, podwórze – ja cała z tego się składam.

### **Fragment V [Rozdział 7, s. 68-70]**

– Niechże pani mi powie, co pani robi. Co pani robiła przez cały ten czas?

– Nic nie robiłam – odpowiedziała i roześmiała się niechętnie. – Naprzód miałam posadę tutaj w starostwie. Ale to się nie dało utrzymać, odkąd ciocia jest chora. Chciałam tej jakiejś niezależności, i ja także, jak pan. Wobec tych wszystkich "starszych", którzy są winni, że świat jest zły, ponieważ się na to godzą i ciążą tą swoją zgodą nad naszym dzieciństwem. Chcemy odłamać się od nich najgłębiej jak można. A później się okazuje, że to samo jest w nas. Bo nie jesteśmy tak bardzo inni, nie możemy ich się całkowicie wyprzeć.

– To jest trudne, ale to jest możliwe – powiedział Zenon.

Zaprzeczyła głową, jak gdyby miała więcej doświadczenia.

– Pan wie, co tu jest pod nami? – spytała nagle.

– Co, tu pod podłogą?

– Tak. Na pewno pan się nawet nie domyśla. Właśnie w tym kącie, jeżeli spuścić prostopadłą, to natrafi na dziwną rzecz. Tu na końcu piwnic jest jedno mieszkanie. Od reszty piwnicy oddzielone jest przepierzeniem z desek i ma kształt trójkąta prostokątnego, którego powierzchnia równa się ściśle powierzchni, jaką zajmuje ta kanapa ze stolikiem, lampą i tą poduszką na ziemi. W tej chwili mieszkają tam cztery dorosłe osoby i jedno dziecko. Przedtem było inaczej. Ale w ciągu ostatnich lat umarło tu pod podłogą troje dzieci, a na wiosnę ze wsi zjechała stara matka, chora, zdaje się, na raka, i zajęła łóżko, które stoi tu, pod ścianą. Przed paru dniami zameldowałam jeszcze niejakiego Franka Borbockiego, którego zredukowali w fabryce Hettnera, więc także się sprowadził do siostry i przez miesiąc mieszkał nie meldowany. I teraz niech pan mi powie, jak trzeba nazwać cały ten fenomen, jeżeli ja sobie siądę nad nimi na kanapie i słucham przez radio Strawińskiego albo zapalę lampę i czytam, powiedzmy Pascala. – Umilkła i po chwili dodała z obrzydzeniem: – Czasem mi się wydaje, że to są szczury.

Zenon nie czuł się winien tego stanu rzeczy. Przy tym inna jego strona uderzyła go bardziej. Słuchał nie odzywając się wcale.

– Więc jak to nazwać? – powtórzyła. – Bo można by powiedzieć, że to jest filantropia. Ci Gołąbscy zostali eksmitowani z mieszkania na czwartym piętrze. Rzeczywiście nigdy nie płacili. Ale ponieważ ona była jeszcze chora po położu i nie mieli gdzie się podziać, więc ciotka pozwoliła im zostać w tym kącie, póki sobie czegoś nie znajdą. Podłoga, piecyk, ta ściana z desek – to nawet coś kosztowało... I tak już siedzą szósty rok. Oni sami mówią nie – mieszkać, tylko siedzieć, bo tam nie można się ruszać. A na noc wszyscy wchodzą do tego łóżka, do matki.

– Ach! owszem! – przerwała sobie sama. – Pan się pytał, co ja robię. Rzeczywiście coś robię. Już dwa lata zastępuję ciotkę i prowadzę meldunki. Polega to na tym, że wszystkie najintymniejsze sprawy tego domu przechodzą przez moje palce. Ktoś się chce żenić, ja mu wypisuję świadectwo, że tu mieszka – ktoś u kogoś nocuje nie meldowany, ja to muszę wytropić. Urodziny, śmierci, wszystko. Wiem, gdzie na ilu metrach kwadratowych ilu ludzi się gnieździ. Wszystko poświadczam, przybijam u dołu pieczętkę, usprawiedliwiam, legalizuję. Taki dom to jest rzecz zadziwiająca. Czy to nieszczerólnie, że ludzie zdecydowali się żyć-na sobie warstwami? Co dla jednych jest podłogą, to dla innych staje się sufitem. Pan wie, że tu połowa piwnic zamieniona jest na mieszkania i tam, pod nami, mieszka więcej ludzi niż na wszystkich piętrach poza tym.

– Oni się nazywają Gołąbscy? – spytał powoli Zenon.

– Ci pod nami, tak, Gołąbscy – powtórzyła Elżbieta i przypatrzyła mu się z uwagą. – Dlaczego pan się o to pyta? Zenon nie odpowiedział.

– Bo to jest chyba obojętne. Cały ten dom pełen jest takich rzeczy. I to wszystko ja wiem. Ja to podpisuję i u dołu przykładam do tego pieczętkę z nazwą ulicy Staszica i numerem domu siedemnastym i jeszcze hipotecznym. To jest ustanowione. Od tego nie można się wyłamać, nie ma żadnego sposobu, żeby się z tego wykręcić, żeby się tego wyprzeć. Wszelka indywidualna niezależność to jest złudzenie. Już przez sam fakt, że żyję, godzę się nieustannie, biorę w tym udział, przykładam do tego ręki. Każdym oddechem przystaję na to wszystko.

### **Fragment VI [Rozdział 7, s. 139-138]**

– Słuchaj Elżbieto, nie powinnaś patrzeć na to tak, jak to wygląda. Powiesz, co zechcesz – i tak będzie, jak będziesz chciała. Ale musisz to zrozumieć, ty właśnie musisz, że to nie jest jak zawsze, że to nie jest takie proste, że tam ona, a tutaj ty. Tak często bywa, ja wiem, ale to tylko pozór jest taki... A dno jest inne.

Nie umiał powiedzieć, na czym polega ta różnica. Chyba że każda rzecz najpospolitsza od wewnątrz jest jedyna. Ale już mówiąc myślał, że wewnętrzny stosunek do tych rzeczy jest złudzeniem perspektywy, że nie orzeka o niczym. Zostaje fakt ordynarny i nagi, schemat nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Justyna była w samej rzeczy uczciwą dziewczyną, którą uwiódł korzystając z jej zakochania. Elżbieta była narzeczoną, którą zdradził. To ostatecznie było istotne, taki był faktyczny stan rzeczy.

Tymczasem Elżbieta nie odzywała się wcale. I Zenon myślał: "Może to nie jest pozór. Może wszystko jest takie, jak wygląda. I to, czym jesteśmy dla ludzi, jest ważniejsze, niż to, czym jesteśmy we własnych oczach".

– Elżbieto... – Ponieważ ciągle milczała, powiedział: – To jeszcze nie wszystko. Jest gorsza rzecz. Ona jest teraz w ciąży. I właśnie...

– Na ten raz Elżbiecie udało się wyrwać z jego powstrzymujących rąk. Zastąpił jej drogę we drzwiach domu, unieruchomił ją w objęciu. Jego ramiona zwały się na jej plecach, zaskoczyły na siebie jak szczęki buldoga. W tym żelaznym uchwycie z trudem łapała oddech.

– Nie pójdziesz – powiedział. – Zostaniesz.

To, czego chciał, to był boleborzański schemat. Musiała przebaczyć.

Ten układ spraw powtarzał się wiernie aż do szczegółów. Elżbieta została. Nie szamotała się już, stała cicho. "Nie można krzyczeć, nie można nic zrobić" – pomyślała.

Cały świat jest taki. Od dzieciństwa męczyła się tym, że matka miała kochanków. Słuchała potem okropnych rozmów starych kobiet o życiu, rozmów ciotki z panią Łucją o mężczyznach. Już dawno domyśliła się, co to były te przedmioty w kasie wuja Kolichowskiego, znalezione przez żonę po jego śmierci. I wiedziała, na jaką chwilę trafiła przychodząc za wcześnie na lekcję do panny Wagner, gdy czerwony i jakby pijany cudowny Awacewicz otwierał jej drzwi.